



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na p o
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Schronienie wdów i sierot.

Ważna kwestya w życiu społeczeństwa była niegdyś podniesiona w „Biesiadzie Literackiej“ pod tytułem: „Instytucya o własnych siłach dla wdów bezdzietnych“ a wkrótce potem w „Przeglądzie Pedagogicznym:“ „Kobieta samotna i wychowanie sierot“. „Kurier Warszawski“ rozbierał ten przedmiot w Nr. 86, następnie p. Walerya Marrené podniosła go w Nr. 93 tegoż pisma, a dodać trzeba, że gdyby szersze koła filantropów i osobistości stojące na czele instytucji dobroczynnych znalazły zblizka los i ciężkie przejścia wdów po stracie męża, sierot po stracie rodziców, zwłaszcza gdy w tych pierwszych chwilach trudnego położenia rady dać sobie nie umiejąc, do ruiny dochodzą, zapewne zajęłoby się losem tych nieszczęśliwych przez wytworzenie instytucji takiej, gdzieby wdowa z dziećmi, lub sierota bez opieki znalazła pomoc i radę dobrą, jak interesa swoje urządzić powinna. Ochroniłoby ją to od strat i zawodów różnych, a często od wyzucia z całego mienia, bo jeżeli, po wielu walkach i przejściach ciężkich rozczarowana, zmęczona, straci siły i energią, cóż się z nią stanie?

Walcząc z położeniem, sprzedawać będzie najpierw przedmioty, które nazwie zbytkiem, potem przyjdzie kolej na przedmioty niezbędne, potem jeszcze na pamiątki najdroższe, z którymi rozstać się tak trudno, tak trudno bardzo; bo są to świadki lepszej przeszłości, chwil życia szczęśliwych, aż ostatecznie przychodzi kryzys. Zrujnowana doszczętnie, obrana z sił, nie wie czego się jąć i jak jedynego środka ratunku wyczekuje śmierci, wiedząc, że jeżeli nie przyjdzie dość rychło, czeka ją chleb jałmużny — żebrania i śmiało też żądać

można, aby społeczeństwo zaradziło temu, przychodząc wdowom i sierotom z pomocą, przez wytworzenie instytucji zarobkowej, gdzieby każda spośród nich, posiadająca normalne uzdolnienie, mogła oddać się właściwej pracy i nie przeżywać posiadanego mienia, miała być spokojny zapewniony.

Inaczej społeczeństwo musi myśleć o wytworzeniu środków na utrzymanie tych biednych, samotnie wśród świata się blakających, które z konieczności powiększać będą liczbę proletaryatu nieprodukcyjnego, na co ekonomia społeczna pozwolić nie powinna.

Dawniej, gdy węzły rodzinne silniej łączyły ludzi, a krewni choćby najdalsi uważali sobie za święty obowiązek opiekować się starcami, wdowami, sierotami, instytucje takie nie miały racyi bytu, bo obok tego były stowarzyszenia religijne, które w braku rodziny dawały samotnym i osierconym przytułek spokojny; lecz przy obecnym ustroju społecznym i ciężkich warunkach życia we wszystkich miastach, stołecznych, we wszystkich miastach większych, nie wyłączając Ameryki, wznoszą się takie zakłady, gdzie tak sierota, jak kobieta samotna znajduje dla życia swego przystań spokojną. Potrzebuje też opieki tkliwej nie tylko sierota owa i kobieta; jest tysiąc serek zranionych, tysiące ludzi ciężko biednych, cierpiących na głód uczucia, bo skoro Bóg wlał w pierś naszą zdolność kochania, należy nam rozwijać w sobie ten dar wielki i kochać — kochać całą siłą uczucia wszystko, co miłości pragnie, miłości potrzebuje i co zarazem za miłość miłością płaci.

Jeżeli nie mamy dzieci własnych, kochajmy dzieci ludzi innych, takie zwłaszcza, które nas potrzebują, bo potrzebują kochać. Jak roślina musi mieć dla rozwoju swego ożyweze promienie słońca, powietrze i rosę, tak dziecko dla rozwoju tych najwyższych władz, jakimi Stwórca obdarzył człowieka, potrzebuje nieodzownie miłości i troskliwej pod względem każdym opieki:

niech więc kobieta, zwłaszcza kobieta samotna, będzie matką każdej sieroty, niech ją przysparza pod skrzydła swej pieczy, a wtedy sieroctwo i wdowieństwo smutne stanie się przez zadziernięcie węzły takie stokroć znośniejszem, stokroć mniej bolesnem.

Wtedy te wydziedziczone miałyby wzniosłe i piękne zadanie, stałoby się ono celem życia niejednej bezdzietnej wdowy, upiękniloby jej ciężkie, bezbarwne życie i wlałoby w duszę to słodkie załowolenie, że w łańcuchu społecznego życia nie jest się szerszeniem.

A jednak te biedne ofiary losu nieszczęśliwie wegetują bez gorętszych uderzeń serca w piersi, skazane na twarde, smutne istnienie, z naturalnego porządku życia wykolejone. Słowa moje trafić-by powinny przedewszystkiem do serek ludzi bezdzietnych, do wdów i wdowców, zwłaszcza zamożnych.

Ale nie należy wątpić o tem, że społeczeństwo nasze umie odczuć to, co je wzywa do spełnienia enoty chrześcijańskiej. Jest tyle serek smutnych, tyle kobiet samotnych, którym potrzeba coś ukochać, aby ogrzać sobie duszę: rzech więc ci wszyscy zespolą się, spełniając czyn szlachetny. Instytucya, którą wzniosą, stanie się pomnikiem, który przetrwa niejedno pokolenie, błogosławiące ich pamięć. To, co uczynimy dobrego ze szlachetnym celem ulżenia cierpieniu, nie ginie nigdy dla życia ludzkości, tak jak nie ginie kropelka rosy, ziarno zboża rzucone w ziemię, gdzie wyda z siebie nowe życie, bo największe rezultaty osiągnane bywają za pomocą zjednoczonych, chociażby najdrobniejszych, ale ciągłych usiłowań, dążących w stronę dobra i obowiązku, przeto wołać nam trzeba na siebie wzajem:

A jako kto i może,
Ku ogólnemu dobru niechaj dopomoże.

H. R.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XVI.

Rolski postanowił oświadczyć się. Dowiedzioną jest rzeczą, że zakochani mają zawiązkę na oczach. Tak i z nim było: patrzył i nie widział. Życzliwość Haliny dla Stanisława brał za przywiązanie siostry, a jej dla siebie sympatya za żywsze jakieś uczucie. A tymczasem ta jej sympatya płynęła z innego źródła. Halina wiedziała, że Rolski szczerze jest przywiązany do Stanisława; ceniła to i wywzajemniała mu się uczuciem szczerzej przyjaźni.

W drugie święto, po przetańczonej nocy, Lucyan zaszedł do pokoju Stanisława.

— Czy masz zamiar położyć się, Stachu? — pyta, zapalając cygaro.

— Ani myślę — odparł Stanisław. — Jestem tylko zmęczony.

Rzucił się na kanapę i zasłonił ręką oczy. Chciał chwilę pomarzyć o Lili, co w ciągu hałaśliwie spędzonej nocy było mu niepodobnem. Rolski stanął przy oknie.

Switało. Na wschodzie różowe światło zorzy ustępowało miejsca coraz jaśniejszej barwy obłoczkom. Lucyan zamyślił się. Miłość jego była także do wschodzącej zorzy podobną.

Tyle niosła z sobą światła, taka była czysta i promienna! Z uczuciem błogości, niedającej się niczem określić, zwrócił się do Stanisława.

— Radbym pomówić z tobą, bracie — rzekł.

Stanisław zerwał się szybko.

— Służę ci — odparł dziwnie zalekniony. — Spodziewałem się tego, obserwując cię dzisiaj.

Rolski uśmiechnął się radośnie.

— Naprawdę? Odgadłeś! Trudno mi pannaować nad sobą. Ach, Stachu! Jaka to idealna, czysta istota! Nie spotkałem w życiu podobnej.

— Przyznaję — rzekł Stanisław. — Halina jest wyjątkowo od natury uposażoną. Łączy w sobie i urodę, i wielką dobroć serca, i wcale niezwykły rozumek.

Na twarzy Stanisława, gdy to mówił, odbiło się zakłopotanie. Uciekał z oczami przed wzrokiem przyjaciela, bo w oczach tych był wyraz głębokiego smutku.

Rolski siadł przy nim.

— Nie mogę już dłużej zwlekać, przyjacielu — rzekł. — Postanowiłem oświadczyć się dzisiaj. Panna Halina tak łaskawie była dla mnie usposobiona. Wybierała mnie do tańców, spacerowała ze mną i widziałem, czulem to, że rozmawiała z przyjemnością. Wszak widziałeś, że prawie ciągle byliśmy razem.

— Tak!...

Stanisław pochylił głowę. — O czymże tak rozmawialiście? — pyta machinalnie.

— Naturalnie, o tobie — uśmiechnął się Lucyan. — To niewyzerpany przedmiot naszych rozmów. Hala kocha cię jak rodzzonego brata, a ja też nie mniej: więc się godzimy zawsze i porozumiewamy znakomicie.

— A!... — Stanisław potarł dłonią czoło. — No i cóż? — pyta zmieszany. — Więc... oświadczasz się, i to koniecznie dziś, tak prędko?...

Sam nie wiedział co mówi. Lucyan zwrócił się do niego.

— Gdybyś wiedział, jak się lękam — szepnął. — Może matka będzie przeciwną... może Halina? Ona tak młoda jeszcze... Ach! muszę skończyć te męki! Doprawdy, oszalałbym, gdyby to dłużej trwać miało. Co mówisz na to, Stachu?

Trudna odpowiedź. W umyśle Stanisława toczyła się walka. On już wiedział teraz, że Halina

nie kocha Lucyana. Ale czy mu to powiedzieć? Czy też z ust jej ma dopiero dowiedzieć się prawdy? Rozmyślał o tem, ciężko przygnębiony.

— Ha! Niechaj Halina sama mu powie — postanowił wreszcie. — Zresztą, kto wie? Możliwe się mylił...

Wyciągnął dłoń do Rolskiego.

— Niech ci Bóg szczęści, bracie kochany — rzekł z uczuciem. — Jeżeli zdobędziesz miłość Haliny, spokojny będę o ciebie.

Drżał mu głos, gdy to mówił. Zły był na siebie, na Lucyana, na Halinę, na świat cały.

Wieczorem Rolski zastał Halinę samą w salonie. Porządkowała kwiaty, trochę smutna, trochę zamyślona. Stała... był obojętny, ani razu z nią nie tańczył, nawet nie spojrzał na nią. A przecież wszyscy mówili, że wyglądała prześlicznie w białoróżowej sukni i fioletkach, które świetnie odbijały od złotych włosów i białej cery...

Myślała właśnie o tem, gdy Rolski stanął przed nią. Był wzruszony, błądy i dziewczeczka odrazu poznała, że nadeszła stanowcza chwila. Byłaby dużo poświęciła, aby jej uniknąć. Rolski, jakkolwiek dreszcz go przejmował a serce jak młotem mu biło, z rozpaczliwą jakąś energią zabrał się do rzeczy. Halina nie spostrzegła się nawet, kiedy rączkę jej w silnym uścisku skrępował, i oprzytomniała dopiero, gdy wyraz „kocham“, z całym ciepłem uczucia wyszeptany, dostał się do jej ucha. Rolski nie śmiał prawie spojrzeć na nią. Szczegółem całego życia położył na szali; drżał teraz z obawy, że to uczynił. Byłby wolał czekać jeszcze i ludzię się...

Halina nagle zbladła. Ona wiedziała już co to miłość, wiedziała jak obojętność ukochanej istoty rani boleśnie. Milczała więc, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Rolski zatrzymał wzrok na ustach dziewczyny.

— Panno Halino — pyta nieśmiało — czym ja nie obraziłem pani? czy nie byłem zbyt zuchwałym? Nie śmiem pytać, nie śmiem prosić, abyś mi odpowiedziała... Czuję, że nie wart takiej, jak ty, istoty, ale cię kocham, jak nikt już chyba kochać cię nie będzie.

Umilkł; wzruszenie zatamowało mu głos, patrzył tylko na nią z takim błagalnym wyrazem prośby, że Halina, podrażniona od dni kilku obojętnością Stanisława, nie umiała zapanować nad swymi nerwami i rozplakała się...

Rolski, przelekniony, ukląkł przed nią.

— Czemu pani płacze — pyta, przejęty do głębi jej łzami. — Czym ja to wywołałem? Obraziłem panią?...

— Nie, nie! — szepnęła. — To nie to!

— Więc cóż na Boga! Nie dręcz mię pani — błagał gorąco. — Nie mogę znieść widoku łez twoich...

Halina ze smutkiem spojrzała na niego.

— P. Lucyanie — szepnęła cichutko — płaczę, bo żal mi i ciebie, i twej miłości, i tego, że nie wzajemian za nią dać nie mogę.

Rolski zerwał się gwałtownie. Czy go słuch myli, czy istotnie słyszy te okropne słowa druzgocące wszystkie jego nadzieje?...

— Panno Halino — mówi bardzo cicho — głosem tak zmienionym, że sam się przeląkł jego dźwięku. — Panno Halino, powtórz mi to raz jeszcze... Może-m ja się omyliłem?... nie dosłyszałem?...

Tarł czoło rękami, jak nieprzytomny; Halina ciepłą, miękką dłoń, położyła na jego ręce.

— P. Lucyanie — prosi, patrząc na niego błagalnie — bądź miłym i przebac mi! Jam nic nie winna, doprawdy — usprawiedliwiała się, boleśnie tem dotknięta, że sprawia mu przykrość. — Ja nie chciałam, abyś mnie kochał... Wiem, że pan jesteś bardzo dobry i gdybym cię była poznała wcześniej... może... może byłabym...

Zapłatała się i nie skończyła. Rolski zrozumiał wszystko. Teraz dopiero prawda stanęła mu przed oczami; odrazu cały szereg chwil minionych, uprzytomnił mu się w pamięci.

Tak! To słodkie dziewczę kocha, kocha, jak on, bez wzajemności. Taki żal, taką litość uczuł dla niej, że o sobie zapominał. Cóż tam on! Będąc cierpiał, kochał ją zawsze i wielbił. Ale ona, ta różyczka biała, dziewczę z twarzą anioła a sercem szlachetnej kobiety, — co z nią się stanie, gdy

się dowie, że jej wybrany miłości ani życia z nią nie podzieli?

Ukląkł znów przed nią i obie rączki wziął w uścisk serdeczny. Posłuchaj mię, pani — rzekł, patrząc jej w oczy jak, pies wierny, gdy się kłoni u stóp tego, który go ukarał. — Ja, kocham cię tak głęboko, że dla siebie nie już nie pragnę, okrom tego szczęścia, abym ciebie widział szczęśliwą. Będę przyjacielem twoim, jeżeli pozwołisz, pokornym sługą w każdej chwili na twe skinienie gotowym. Gdybyś kiedykolwiek smutną była, gdyby zniechęciło cię życie, gdybyś potrzebowała podzielić się z kimś myślą, przypomnij sobie o mnie. Ja cię zrozumieć, ukochana, każdy twój ból odczuję i jak brat czuwać nad tobą będę. Czy zgadzasz się na to? Pozwołisz, abym był dla ciebie bratem, tylko bratem, Halino? Kilka gorących łez spadło na ręce dziewczyny.

Spojrzała na niego z uczuciem serdecznej wdzięczności.

— Będę ci siostrą — odparła cicho.

Rolski na mgnienie oka do białego jej czoła przyłożył usta. — Pamiętaj coś przyrzeka — szepnął. — pamiętaj!

W kilka dni potem Stanisław z matką opuszczał Bielowce. Rolski wyjechał wcześniej, nie dając do ostatniej chwili poznać, co się z nim działo.

Na lękliwe zapytanie Stanisława o rezultat rozmowy z Haliną odpowiedział krótko: — Odrzuciła mnie — a Stanisław, widząc, że mówić nie chce, o nic więcej nie pytał.

W wigilię wyjazdu dzień był prześliczny; w parku z pomiędzy zielonych liści wychylały się do słońca fiołki w takiej ilości, że Halina rwała je całemi pęczkami i zarzucała nimi toaletę matki, biurko ojca, stolicki i żardinieri.

Dziewczę było wciąż teraz smutne i zamyślane. Nie śpiewała już; irytował ją nawet skowronek, którego piosenka o wiosnie dźwięczała bezustannie.

— Staś się gniewa i odjeżdża — powtarzała sobie co chwila i postanowiła wreszcie zapytać go wręcz o powód zmiany, jaką w nim dostrzegła. Zbierała się od dni kilku, i zawsze nieśmiałość zamykała jej usta. Dziś jednak musi to uczynić, byle tylko chwilę swobodną znalazła... Stanisław po obiedzie wybrał się do p. Bielowskiego na gawędkę, zastał Halinę czytającą ojcu gazetę; przestała, gdy wszedł, i w parę chwil potem żywa rozmowa toczyła się między nimi.

Po pewnym czasie Bielowski coś sobie przypomniał.

— Poczekaście tu na mnie, dzieci — rzekł. — Zapomniałem, że w składzie wydają spirytus... Muszę zajrzeć. Wyszedł, Stanisław machinalnie podjął gazetę i zaczął czytać.

Halina przyglądała mu się bacznie. Teraz dopiero zobaczyła jak jest zmieniony. Ruchem pieszczonej kotki przysunęła się do niego i delikatnie wyjęła z rąk gazetę.

Stanisław smutno się uśmiechnął i uciekł z oczami przed wzrokiem dziewczyny. Świadom był już tego, że Hala go kocha, i rozpaczał nad tem. Halina, wiedząc, że ojciec wróci lada chwila, odrazu przystąpiła do rzeczy.

— Kuzynku, powiedz mi, proszę, dlaczego stonisz odemnie i gniewasz się? Nie przypuszczam, abym zrobiła coś takiego, coby cię obraziło?

Drżał jej trochę głos i rumieńce były na twarzy... Stanisław targał wąsa niecierpliwie.

— Nieczem mię nie obraziłaś, kuzyneczko — rzekł z udanym chłodem. — Zkądże to przypuszczenie?

— Bo widzę, że od dni kilku zmienileś się dla mnie — odparła ze smutkiem. — I ciocia jest jakaś inna... Nie mogę pojąć co to znaczy...

— Przywidzenie, Halko — rzekł Stanisław, nie patrząc na nią. — I ja i matka kochamy cię bardzo. Co zaś do zmiany, jaką w humorach naszych dostrzegłaś, to powiedzieć ci muszę otwarcie, że wpływa ona z zupełnie innych powodów. Mamy swoje kłopoty, Haluniu... Któż jest bez nich na świecie!...

Halina położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała w oczy.

— Czy ja o nich wiedzieć nie mogę? — pyta

słodko.—Tak mię serce boli, gdy patrzę na twoją twarz zachmurzoną...

— Dziękuję ci — rzekł serdeczniej — nigdy o przywiązaniu twojem nie wątpiłem. Kiedyż przyjdziecie do Kamieniec? — pyta, chcąc przerwać rozmowę.

— Nie wiem — szepnęła. — Mamę męczą podróże...

Zamilkli; ona patrzyła na niego z niezgłębioną miłością, on myślał w dal uciekał.

— Kto wie, czy nie wypadnie nam pożegnać się na długo, Halinko? — rzekł po namyśle. — Prawdopodobnie wyjadę wkrótce. Opanowała mię chęćka włóczenia się po świecie... Nie byłem jeszcze w Egipcie, a wyznam ci szczerze, że Nil pociąga mię ku sobie... W ogóle jest tam wiele rzeczy godnych widzenia i człowiek radby się z niemi spotkać!

Nie patrzył na nią, ale uczył, że ręka na ramieniu jego oparta mocno drgnęła i opadła bezwładnie.

Zapanowało milczenie. Stanisław podniósł się. Grzeczność nakazywała mu spojrzeć na Halinę. Spojrzał i przeląkł się... Siedziała cichutko na kanapie, z twarzą śmiertelnie bladą, i przymrużała oczy, by nie pozwolić wypłynąć łzom, w których się kapały.

Stanisławowi ścisnęło się serce boleśnie. Halinę kochał jak rodzoną siostrę, której nie miał, i złorzeczył sobie, że był taki ślepy i tej miłości w samym zaraniu nie słumił.

Stał teraz i patrzył na nią, nie wiedząc co mówić, co postanowić, aby ulżyć jej boleści. Halina całą siłą woli sflumiła wreszcie łkanie i spytała cicho:

— Kiedy masz zamiar wyjechać, kuzynku?

Tak jej przy tem pytaniu zbladła usteczka nerwowo drgały, taka była zalekniona, odurzona wiadomością, że Stanisław usiadł przy niej i, głoszącą pieścizotliwie głowę dziewczęcia, zaczął ją uspokajać. — Moja Halko — mówi serdecznie — jakaś ty dobra! Wierzaj mi, że umiem cenić twoje przywiązanie i wdzięczny-m ci nieskończenie. Widzisz, siostrzyczko, ja... ja powiedziałbym ci coś, ale — zawałał się i jakkolwiek rozum nakazywał wyznać jej wszystko otwarcie, obawa jak to przyjmie, zamykała mu usta.

Halina zrozumiała go inaczej.

— Mów, Stasiu — szepnęła cichutko. — Mów, proszę...

— Dobrej mojej siostrzyczce — zaczął Stanisław przytłumionym głosem — chcę powierzyć tajemnicę mego serca. Dużo smutku i bólu, mieści ona w sobie, ale miała też i rajskie chwile niezapomnianego nigdy szczęścia.

Zatrzymał się... wilgotna mgła wzrok mu zamęliła. Halina słuchała go, nieoddychając prawie.

— Pokochałem od pierwszego wejrzenia — ciągnął Stanisław dalej — i nie pytając, czy ta, którą wybrałem, odpowie mi wzajemnością, czy w ogóle zasługuje na to, abym jej najgorętsze uczucia serca poświęcił, oddałem się pani mojej całej, szczególnie, że niewolnikiem jej być mogę.

Drżącą ręką Haliny spoczęła na jego dłoni.

— A jaka ona była szczęśliwa — szepnęła — jaka szczęśliwa!

Stanisław smutno się uśmiechnął.

— Tak-em przypuszczał — rzekł. — Długo nie śmiałem jej mówić o swej miłości; była jeszcze tak młoda... dziecko nieledwie...

Błogi uśmiech rozjaśnił twarz Haliny. Zdawało jej się, że teraz już wie wszystko. Stanisław ją kocha, ale poznać musiał, że matka jej patrzy na to niechętnie i — ztąd zobojętnienie i brak humoru. Teraz już i druga rączka na dłoni Stanisława spoczęła.

— Mów dalej, Stasiu — prosi. — Czy sądzisz, że to dziecko nie umiało jeszcze kochać?

— Nie wiem — odparł — jak nie wiem, czy w ogóle kochać potrafi.

— Co? — pełen oburzenia okrzyk wyrwał się z piersi Haliny. — El Stasiu niedobry jesteś — szepnęła.

Stanisław ocknął się z zadumy i spojrział na nią. Jaka zmiana! Twarz Haliny promienieje jak zorza. Oczy błyszcza radością, śmieją się usta. Tuli się do niego pieścizotliwie i patrzy mu w oczy, jak oblaskawiona sarenka. Stanisław

oniemiał. — Dlaczego ją to tak cieszy? — myśli, zajęty wciąż swojemi wspomnieniami. — Czyżbym się omylił?... Dalby Bóg!

— Przykro mi, że cię zasmucę — rzekł — ale dalszy ciąg dziejów mej miłości nie należy do szczęśliwych. Tobie... tylko tobie, powiem, Halu, bom nawet matce przyznać tego nie chciał, że się srodze zawiódł, i to, co było widocznie objawem wrodzonej kokieterii, jam wziął za pozory prawdziwego uczucia. Krótko ci powiem — dodał z boleścią, — że ta, którą wybrałem, zdradziła mnie i jest dzisiaj narzeczoną innego.

Zerwał się gwałtownie i, zapomniawszy pod wpływem tej piekającej myśli o wszystkim innem, pobiegł do okna i otworzył je.

Fala ciepłego wiosennego powietrza wpłynęła do pokoju i orzeźwiła mu skronie. Ocułała ona i młode dziewczę, które pod wrażeniem słów ostatnich siedziało jak skamieniałe. W jednej chwili przysła nić złudzeń i — pozostała rzeczywistość naga, okropna, dojmującym bólem targająca serce.

— Ach uciec, uciec gdzie najdalej, — wirowało jej w mózgu — byle nie patrzeć na niego i zapomnieć o wszystkim!

Cichutko, powoli, podniosła się i powlokła ku drzwiom. Nogi odmawiały jej wprawdzie posłuszeństwa, ale ciągnęła je za sobą i odetchnęła dopiero wówczas, gdy się znalazła za drzwiami.

Gdzie ona pójdzie teraz, by ukryć upokorzenie i ból ten przetrwać? Przesunęła się cicho, aż do drzwi ogrodowych, a w kilkanaście minut potem leżała na wilgotnej ziemi w oddalonej części ogrodu, gorącemi kroplami łez rosząc kępy fiołków wokoło niej kwitnących.

Sama jedna tu była i na tym pachnącem kobiercu powoli odzyskiwała równowagę.

— Co on sobie myśli o mnie? — szeptała boleśnie — tak jawnie okazywałam mu swoje uczucia! Musi mną pogardzać, a ja — ja tego nie zniosę, ja tego nie przeżyję!

Upłynęło pół godziny, chaotycznie splecione myśli, zaczęły się powoli systematyczniej nieco układać w pękającej prawie od bólu głowie dziewczęcia. Jakkolwiek dreszcze nią wstrząsały, słońce jednak dogrzewało z wierzchu i Halina nie zwracała na to uwagi, że ziemia chłodna jest i wilgotna.

— Jak ja tam wrócę z zapłakaną twarzą? — myślała zakłopotana. — Ojczulek zaraz pozna i Staś także. — Za nie nie pokażę się teraz nikomu.

Przeleżała na trawie jeszcze parę godzin.

— Oho! Muszę otwarcie pomówić ze Stasiem, bo nie wytrzymałabym.

Postanowiła wreszcie i podniosła się z ziemi. Zamiast jednak do jadalnej sali, gdzie w tej porze właśnie zbierano się na poobiednią kawę, poszła do swego pokoju, wymówiwszy się bólem głowy.

Nazajutrz z wielkim trudem wstała z łóżka. Bolały ją nogi, bolała głowa, ale nie uważała na to. Zeszła na śniadanie, a nie zastawszy jeszcze nikogo, wsunęła się we framugę okna i oparła głowę o zimną szybę. Dzień wczorajszy stanął jej żywo w pamięci.

— Ach, com ja zrobiła, com ja zrobiła! — szepnęła. — Sama wyznałam mu prawie, że go kocham, a on myślał i mówił o innej.

Wszedł Stanisław, spostrzegł Halinę i szybko podążył ku niej. Halina podała mu rękę na powitanie. Tak drżała biedaczka, że bez pytania objął ją w pół i zaniósł prawie na fotel.

— Nie dobrze wyglądasz, Halu — rzekł, patrząc na nią czule — oczy ci zapadły... nawet usta masz białe. Niegrzecznie mi wczoraj uciekłaś; anim się spostrzegł.

Krew gorącą falą uderzyła jej do głowy.

— Przepraszam — wyjąkała — ale...

— Nie potrzebujesz się tłumaczyć — odparł szybko Stanisław. — Wiem przecie, że swój śliczny ciekawy noszek wszędzie wtrącić lubisz... Odwołała cię pewno jaka ważna gospodarska kwestya i ja nie mogę mieć o to pretensyi.

Usiłował przedstawić rzecz w żartobliwym tonie i udawał, że zmieszania jej nie widzi.

Halina przyszła tymczasem do siebie.

— Teraz muszę powiedzieć wszystko... — pomy-

ślała, otrząsając się powoli z wrażenia. — Teraz albo nigdy!

Podniosła się z krzesła bardzo blada i spojrzała na Stanisława. Cała siła, cała głębia miłości odbiła się w jej spojrzeniu.

— To już ostatni raz wolno mi tak patrzeć na niego — przebiegło jej przez głowę i nie wiedziała nawet o tem, że oczy jej zaczęły napępniać się łzami.

— Kuzynku Stasiu — szepnęła. — Nie mogła mówić dalej.

Stanisław patrzył na nią z żalem, ujął obie rączki i całować zaczął.

— Moja Halu — szeptał. — Moja jedyna, dobra siostrzyczko...

Słowa jego ocuciły ją odrazu. Ach! więc jeszcze i litość! Nie... tego już zawiele.

Łzy oschły w jednej chwili, wysunęła ręce z jego uścisku.

— Powiedz mi, kuzynku, czy bardzo mną pogardzasz? — spytała odważnie — przyznaj się... sytuacja była tak zabawna!...

Chciała się uśmiechnąć; skończyło się jednak na bolesnem ust skrzywieniu.

Stanisław spojrział na nią zdumiony.

— Nie rozumiem — mówi — co chcesz powiedzieć, Halino? Dlaczego mam tobą pogardzać? Jakiż to żart bolesny!

Uśmiechnęła się ironicznie, lecz wprędce wrodzona jej szlachetność wzięła górę.

— Wolę wyznać ci wszystko otwarcie — rzekła. — Nie twierdzą, abyś mną pogardzał: to byłoby niegodne ciebie, ale czujesz litość, a ta mnie głęboko upokarza. Chciałam więc prosić cię, abyś zapomniał, że ja... że ja... — i znów dokończyć nie mogła.

Stanisław pochylił się ku niej.

— Ej, Halu, nie zasłużyłem na to — rzekł, biorąc złodowacią jej ręce. — Przykro mi bardzo!... Nie będę cię atoli okłamywał i powiem szczerze, że wiem o co ci chodzi. Kochasz mię, dziecko, i wstydzisz się tego uczucia dlatego, że nie odwzajemnione. Zle sądzisz o mnie, Halu, a uczynisz krzywdę nam obojgu. Czy uwierzysz mi, gdy ci powiem, że gdybym cię zobaczył przed poznaniem Lili z pewnością ciebie byłbym pokochał. W najmniejszych drobiazgach odpowiadasz ideałowi kobiety, o jakiej marzyłem. Miałem, wyznaję — trochę nawet żalu do ciebie, że przy porównaniu z tobą moja wybrana nieskończenie wiele traciła. Widzisz, dziecko, jak dziwnie los nami pokierował; zobaczyłem cię zapóźno i oto... z dwojga ludzi, zgadzających się z sobą we wszystkim, ludzi, którzy mogli byli przejść życie, dając sobie szczęście i uszczęśliwiając innych, on, nierozważny szaleniec, pogrzebał swoje dla pięknych czarnych oczów, które go zwodziły, ona całe skarby bogatego serca w inny wprawdzie sposób, ale zmarnowała także.

Zamilkł na chwilę, wzruszony, Halina słuchała go z bijącym sercem.

— Taka miłość, jak twoja, Halu, zaszczyt przynosi, i temu, kto ją obudzić potrafił — ciągnął dalej — i tej, która tak kochać umie. Słowa twoje były dla mnie bardzo gorzkie i smutne. Siostrzyczko moja... zostaliśmy przyjaciółmi jak dawniej. Jestem pewny, że niejednokrotnie, słabszy od ciebie moralnie, potrzebować będę twojej pociechy, rady i ukojenia. Będziemy się dziwigali oboje, będziemy się starali zapomnieć... chociaż — uśmiechnął się smutno — nie przypuszczam abyśmy to potrafili.

Popatrzył jej w oczy serdecznie; Halina oparła głowę na jego ramieniu płakała cicho, ale łzy, które lały się z jej oczów obficie, nie bolały. Czula niezmierną wdzięczność dla Stanisława; to, co jej powiedział, podniosło ją we własnem przekonaniu o tyle, że teraz już nie żalowała tego, co się wczoraj stało, co więcej, rada była, iż Stanisław wie jak bezgranicznie go kocha.

— Nie umiem zapominać — szepnęła. — Ale przyrzekam ci, Stasiu, że miłość moja dla ciebie od tej chwili będzie łagodnem, spokojnem uczuciem; nie znajdzie się w niej miejsca ani na ból, ani na złość i przejdzie ona wraz ze mną przez życie całe, dodając siły ożywej i bynajmniej nie gnębiąc, że nie podzielana.

— Spodziewałem się tego — rzekł Stanisław, patrząc na nią z uwielbieniem. — Ożeś moja i głębiej braterskie uczucie towarzyszyć ci będą zawsze. Dalby Bóg, aby zaświeciła ci w życiu isierka choćby powtórnej miłości i abyś choć względnie była szczęśliwą!

Ucałował kłiwie zapłakane oczy i czoło dziewczęcia. Nie broniła się: wszak to pierwszy pocałunek, pocałunek rozstania, pożegnanie, może na długie lata i zakład nigdy niezmiennych uczuć.

Z wejściem p. Bielowskiego oprzytomnieli. Stał przed nimi, śmiejąc się serdecznie, mimo, że wzrok zamglili się łzami.

— Cóż to? Państwo tu tak we dwójkę? — pyta figlarnie. — To pożegnalne sam-na-sam okropnie was, widzę, rozczuliło. Panience się noski jak o czerwieni. Stasiowi wąsy na dół opadły... hm, hml...

— No, może was pobłogosławić dzieci?

Halina spokojnie podeszła do ojca.

— Pobłogosław mu na drogę, ojezulku, bo daleko wyjeżdża — rzekła, wskazując Stanisława. — Może nie zobaczymy go tak prędko...

Ojciec popatrzył na nich zdumiony.

— Dalibóg nie nie rozumiem — mówi. — Więc dałaś mu od kosza, dziewczyno? Bo pocóżby odjeżdżał? No, ktoby te dziewczęta zrozumiały! Żyć bez siebie nie mogą, czerwienią się, bledną, całują się, com na własne oczy widział, a potem on odjeżdża, a ona mówi o tem tak spokojnie, jak o wczorajszej pogodzie. A to jakieś nowomodne facecye! No, i co ty, Stasiu, na to?

Halina przytuliła się do piersi ojcowskiej.

— Nie pytaj o nic, ojezulku — prosi. — Na teraz sam fakt musi ci wystarczyć. Później, opowiem ci co nas ze Stasiem rozdziela nazawsze i dla czego mimo to, widzisz mię tak spokojną. Ale dziś, dziś, ojezulku, ani słowa już o tem. Mama zaraz nadejdzie... nie chcę, by się czegokolwiek domyśliła.

Nim pocziw ojeziec zdołał oprzytomnieć, nadeszła Kamieniecka z p. Klotyldą i rozpoczęło się śniadanie.

Halina całkiem swobodnie nalewała kawę, przyrządzała matce kakao; Bielowski za to machinalnie kładł do ust jaja i szynkę i w dobrej wierze zapijał to mlekiem, które dziś miało dla niego smak cierpkiej herbaty. Nic tego wszystkiego nie rozumiał.

W godzinę potem Kamienieccy odjechali smutna Halina ostatnie łzy żalu wypłakiwała w ogrodzie, z kąd po paru godzinach zabrał ją ojciec do domu, znękaną ostatnimi wypadkami i drżącą od zimna, mimo wypieczonych na policzkach rumieńców.

— Pójdź do mego pokoju, dziecko — rzekł, przyglądając jej się z trwogą. — Tam odpoczniesz i uspokoisz się. Coście wy nabroili? dalibóg nie pojmuje...

Niekrepowany teraz niczem, ciężki żal dziewczyny wybuchnął z całą siłą.

— Ach, ojezulku — szeptała — jak ja go kocham i jak ja żyć bez niego potrafię!

Ojciec tulił ją do piersi, o nic nie pytał i czekał, aż po gwałtownym wybuchu nastąpi reakcja i ta zraniona ptaszyna sama ból swój wypowie. Drżącą dłonią odsuwał delikatnie popłatane loczki z rozpalonego czoła aż biedne dziewczę utuliło się cicho w jego objęciu.

Potem powoli opowiadać zaczęła ojcu dzieje tak młodej a już pogrzbanej swojej miłości i spowiedź ta przyniosła jej nieco ulgi.

— Tylko nie mów nic mamie, ojezulku — prosiła błagalnie. — Mama Stasia nie lubi, uprzedziłaby się do niego więcej jeszcze. Cóż on winien? Ja będę się starała panować nad sobą i przez miłość dla niego właśnie chcę być spokojną i wyrobić w sobie tę siłę, abym mu nigdy poznać nie dała, jak ciężko mi było wyrzec się szczęścia.

Ojciec nie perswadował i nie pocieszał. Znał ich oboje, więc wiedział, że Hala nie zapomni i Stanisław nie wyrzeczy się Lili; z jakąż boleścią patrzył na swoją ukochaną jedynaczkę!

Tyle marzeń przysło w jednej chwili, on żył niemal tą myślą, kiedy Hala wyjdzie za mąż, wnuczęta ją rozwesela; będzie miał to ciepło rodzinne, za którym wzdychał i którego w pożyciu z zi-

mną kobietą niejednokrotnie łaknął. Ha! Skoro Bóg tak postanowił! Byle tylko temu biednemu dziecku nie było za ciężko dźwigać ten ciężar...

— Jak ty wyglądasz, Halinko — rzekł przyglądając jej się z przerażeniem. — Ty drżysz cała... Jakaż to nierozwaga kłaść się o tej porze, na chłodnej wilgotnej ziemi! Co ci jest dziecko?

— Głowa mię boli od wczoraj jeszcze — odparła cicho — zimno mi i gorąco naprzemian, czuję że ledwo na nogach mogę się utrzymać.

Ojciec ułożył ją na kanapie i otulił ciepło.

— Poleż tu sobie, dziecko — rzekł. — Matka przynajmniej pytaniami męczyć cię nie będzie.

Nalał kieliszek starego wina i mimo oporu Haliny wypić kazał. Zmęczona, zasnęła wkrótce, ale przez sen starzyła się boleśnie, miała gorączkę, i ojeziec, nie tracąc czasu, wyprawił konie po lekarza.

Pani Klotylda irytowała się, dokuczała mężowi, a Bielowski głowę tracił.

— Otóż widzisz do czego prowadzą przewrócone pojęcia — mówiła do męża. — Biegała pewno po chałupach, leczyla chorych, aż sama zapadła. Cierpliwości z wami brakuje.

Bielowski mileżał. Zatrwożony chorobą Haliny, patrzył tylko w twarz doktora i prawie lękał się pytać.

— No, niema nic złego — zapewniał doktor Olski po zbadaniu chorej. — Lekkie zakatarzenie prawego płuca, przyplątała się febra, rzecz zwyczajna na wiosnę... Przejdzie, przejdzie, wszystko będzie dobrze. Panienska za dużo biegała, trzeba teraz poleżeć w łóżeczku.

Zapisał lekarstwo i odjechał.

P. Bielowski z gazetą w ręce objął stanowisko dozorczyń przy chorej. Pani Klotylda usunęła się do swego pokoju mdlejąca, skarżąc się na migrenę.

— Ojezulku, błagam cię, niech się Staś nie dowie o mej chorobie — prosiła Hala prawie ze łzami. — Byłoby mu przykro!

— Bądź spokojną, najdroższa — zapewniał ojeziec. — W Kamienicach nie wiedzieć o tem nie będą. Nie powiedziałem nawet dotąd Rolskiemu jak jest istotnie. Uwierzył, że to tylko silny ból zębów.

Hala z głęboką wdzięcznością spojrzała na niego.

— Jakiego ja mam dobrego tatusia! — szeptała, przymykając oczy. — Chciałabym już być zdrową!

Nieprędko przyszło wyzdrowienie. Uparta febra w połączeniu z lekkim zapaleniem płuc przetrzymała Halę w łóżku kilka tygodni. Pani Klotylda czuła się nieledwie obrażoną. Dotąd posiadała ona wyłączny monopol kwękania i zajmowania wszystkich swoją chorobą. Obecnie nikt na nią nie zważał. Choroba Haliny pochłonęła i Bielowskiego, i lekarza, i nawet służbę całą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

Niezawodnie była to jedna z wielu podobnych siostrzy, niezawodnie biały anioł poezji, nie znajdując przytulku w ośchłych w pedantycznym szkolnictwie sercach męzkich, odwrócił się w owe czasy od nich i zstąpił do serc tych niewiast, którym okoliczności życia dozwoliły zwrócić ducha ku szerszym zjawiskom bytu. Wiemy, że wiele kobiet ówczesnych lubowało się w poezji, że niektóre z nich, jak księżna Radziwiłłowa i pani Niemierzycowa, same rymy, choć bardzo słabiutkie, składały. Drużbacka miała zapewne

siostry w duchu, ale wzniosła się nad nie siłą talentu twórczego.

Z tą potęgą uzdolnienia poetycznego łączy się w dziwnie sympatycznej harmonii w duszy poetki czystość jej uczuć i myśli. Ta czystość każe sercu jej wzdrygać się na widok zepsucia, jakie pochłaniało wyżyny społeczne. Zdrowa natura poetki, wykapaną w słonecznej atmosferze życia rodzinnego, dojrzewającą na ożywczem łonie przyrody, nie mogła pogodzić się z trującym powietrzem obyczajów wielkoświatowych. Więc cicha i pokorna dusza kobiety zdobyła się na ironię i satyrę, którą poetka chłoszcze zepsucie obyczajów. Najlepsze z tego rodzaju utworów satyrycznych są dwa, w związku z sobą będące, które noszą następujące długie bardzo tytuły: „Skargi kilku dam, wspólnej kompanii błądzących, dla jakich racyi z mężami swojemi żyć nie chcą“ i „Awersya pewnej damy, całe życie bawiącej u wielkich dworów, przy których, gdy nie tylko same próżność, nieszczerłość, zazdrość i wiele defektów uznała, walkę życiu takiemu wypowiada, a na spokojniejsze się wybiera“. W pierwszym utworze spowiada się ze swych zachceń excentrycznych zdemoralizowane i znużone życie dusze dekadentek ówczesnych; w drugim wypowiada swą „awersyą“ dla tych niewiast i w ogóle dla życia wielkoświatowego pewna dama, którą niezawodnie jest sama autorka. A jak podobne są te dekadentki z początku XVIII wieku do duchowych siostr swoich doby dzisiejszej! Skarżą się one na to, że ich mężowie zrozumieć nie mogą, oglądają się za kimś, coby je lepiej rozumiał; to znowu wypowiadają żal na skąpstwo swych panów, którzy nie chcą im dawać pieniędzy na różne fatalaszki, i przykrzy się im cisza życia rodzinnego, przykrzy mąż, siedzący ciągle w domu: chciałby się bawić, błyszczeć na szerokim świecie, a jedna nawet rozstaje się z mężem za to, że jej ulubiony wachlarz z kupidynem, wzięwszy w grube ręce, złamał.

Jak dosadnymi barwami i z niezwykłym rozumem maluje nam poetka obraz ówczesnego życia światowego, obraz, zabarwiony prawdziwą ironią i sarkazmem, i bogaty niezwykłym zmysłem spostrzegawczym! . Posłuchajmy:

„Teatrum ci to na rozliczne sceny:

„Tu śmiech, tu żarty, jużci smutne treny;

„Ten się uskarża, ten został w afrońcie,

„Ta urażona słowem, płacze w kącie.

„Zacznie się taniec na przestronnej sali,

„Świec w lustrach pełno, każdy hojność

[chwali“...

A dalej w opowieści złośliwych balowiczów, tak chłoszcze Drużbacka dowcipnie bawiące się niewiasty:

„Jeden drugiego w bok trącając, rzecze:

„Patrz, jak się za tą ogon długi wlecze!

„Na tej opięto, kuso, graty stare:

„Znać w wodzie stała, gdy jej brano miarę.

„Ta jak żółw' głową, albo bażant chwieje,

„Ta zaś pod żaglem leci, gdy wiatr wieje;

„Szum, szelest za nią, ni bies kogo niesie,

„Czyli więc zwierza uganiają w lesie“.

Nie daruje też mężczyznom:

„Ten w ogród cudzy musiał, albo w żyto

„Często zaglądać, że mu biodro zbity,

„Powłóczy nogę, znaczna za nim ściészka,

„A w opasaniu jak wątroba kiszka;

„Ów z taką miną w korwetach (tak) się sadzi,

„Ledwo o ścianę tyłem nie zawadzi,

„Rozumi, że to przed karytą płasza,

„Gdy w kalwakacie jadąc, kręci wasa“.

Z mroków ówczesnej epoki, które zagasiły od dawna jasne promienie Złotego Wieku piśmiennictwa, z mroków, które zepsuły smak i obyczaje, wynurza się powoli światelko wiedzy. We

wszystkich usiłowaniach ku rozłaniu tego światła serce poetki naszej żywy udział przyjmuje. Działalność Konarskiego, Żałuskiego, założyciela biblioteki, i innych, zachwytem duszę jej napienia, i zachwyt ten nawet w rymach uniesmiertelnienie znajduje. Więc do zdrowych soków życia rodzinnego przybyły nowe żywioły, tkwiące w budzącym się z długiego uśpienia ruchu umysłowym. W cieniu przesądów, które padały jeszcze na ducha doby ówczesnej, rzuca jasny i trzeźwy umysł poetki promienie zdrowszej myśli. Zasyła Drużbacka w mowie rymowanej prośbę do Żałuskiego, aby starał się wykorzystać wiarę w upiory, a chwali go za to, że przyczynił się do zniesienia w Częstochowie smutnego obrządku wypędzania dyabłów.

Wskutek tego, że żywy umysł tej kobiety interesował się każdym ważniejszym objawem życia i w utworach wyraz odpowiedni mu nadawał, mamy przed sobą w rymach poetki ciekawy obraz doby współczesnej, co dużą wartość im nadaje.

A teraz zbadać należy: jak spogląda autorka nasza na różne objawy życia duchowego?

Będąc dziećciem głębokiej jeszcze, szczerą i naiwną wiarą, okiem tej wiary spogląda na wyżyny ducha. Potępia gorąco ateuszów, w pięknie przyrody widzi objawy ducha Bożego i do niego, jako do pierwotnego źródła wszelkiej prawdy, umysł i serce swe zwraca. Współczujemy uniesieniom duszy kobiety i poetki, gdy się Istocie Najwyższej z bólów swych i myśli spowiada, gdy z uczuciem serdecznym przypada do stóp krzyża; odczuwamy nawet głęboką poezją w jej zachwytach nadziemskich, tak, jak czarują nas wzniósłe utwory penzla religijnego. Musimy jednak przyznać, że, gdy zamiast czuć, rozumuje, szafując ubogiemi zasobami swej wiedzy filozoficzno-teologicznej; gdy się stara nieudolnie w rymach istnienia Boga dowodzić; gdy miota się i rzuca bezsilnie, w trywialny sposób wymyślając niedowiarkom, że są stworzeni „z siarki, z saletry, z dziekciu i ze smoły;“ gdy, straszy grzeszników smolą piekielną, — naówczas nikt w słabej rezonancie nie może dojrzeć natchnionej poetki.

Uczucie religijne skłoniło autorkę do odtwarzania w pieśni podań biblijnych. Są to najsłabsze jej pod względem myśli i artyzmu utwory. Poetycznego ducha Biblii Drużbacka odczuć nie umiała, nie doszła do wyżyn, na których on przebywa, ani wykształceniem filozoficznym, ani natchnieniem twórczości. W rymach jej dzieje ludu wybranego okazują nam tylko swą zewnętrzną, religijno-historyczną stronę, ale ducha, który w nie poezja i filozofia Wschodu tchnęła, nie dojrzała myśl i nie odczuło serce śpiewaczki. Na dzieje te spogląda Drużbacka naiwnym okiem pobożnej kobiety XVIII stulecia, prostej służebnicy Pańskiej. Nie rozumie wielkich postaci biblijnych, więc sądzi je według zasad etyki chrześcijańskiej, panujących w dobie ówczesnej. Wygląda to tak, jak gdyby kto pobożnego szlachcica naszego przeniósł jakimś cudem w czasy biblijne. Spogląda on na to, co się dzieje, i gdy coś obraża jego uczucia religijne, żżyma się i wymyśla. Niekiedy nawet zdarzenia tragiczne z humorem poetka odtwarza. Na błysk myśli wszechludzkiej i ideałów, na potęgę uczucia i wyobraźni Wschodu oczy Drużbackiej są zamknięte, jako czy ślepego na blaski słoneczne. I dziwić się temu nie można, a tylko żałować należy, iż twórczość Drużbackiej, idąc za upodobaniem wieku, weszła na tak niewłaściwe dla swego usposobienia duchowego tory. Tak potężnych postaci, jakie widnieją na kartach Biblii, takich piorunowych namiętności, jak burza przebiegających przez dzieje Ludu Izraelskiego, — ciepła, serdeczna, ale daleka od uniesień dramatyczności, tragizmu i heroizmu, dusza poetki XVIII wieku odczuć i zrozumieć, a więc i odtworzyć, nie mogła. Weźmiemy i później wyższym nawet organizacyom artystycznym nie bardzo się to udawało. Że jednak szczerą i gorącą religijność Drużbackiej zdołała się oczyścić z pewnych naleciałości wieku ciemnoty, że zdołała wznieść się nad mroki ówczesnych zabobonów, to już przed chwilą zaznaczyłem. Dodam tylko, dla jaśniejszej charakterystyki, że w pieśni poetki niema tego niemitego rozdźwięku, ja-

ki wywołuje starcie się wiedzy z wiarą, rozumu z prawdą objawioną. Świadczy to o niepospolitym rozumie tej kobiety.

Poglądy psychologiczne poetki wieku XVIII, wieku, który odczuwał zaledwie pierwsze obudzenie z długiego snu ducha, nie mogą być ciekawymi. Duszę ludzką przedstawia sobie wyobraźnia autorki w bardzo naiwnej allegoryi. Oto ma być ona fortecą, od Boga wystawioną, pięcią bramami zamkniętą, a bramy te to jej zmysły. Do fortecy tej szturmują Lucyfer z całem wojskiem dyabelskim i zdobywa jedną z bram, bramę słuchu, za pomocą broni pochlebstwa. Naówczas różne władze duszy puszcza się w taniec pod dyrekcyą dyabelską. Ale niebawem nadchodzi dzień skruchy. Wiara, rozum i sumienie, jak dowódcy załogi fortecznej, naradzają się nad sposobami przywrócenia swej niezależności. Wskutek tej narady posyłają do Boga w poselstwie „westchnienie“, i posel ten przynosi im łaskę przebaczenia.

Sądzę, że trudno jest przyznać jakąkolwiek wartość poetyczną tej allegoryi o grzechu pierwotnym i odkupieniu win ludzkości. Ze stanowiska myśli jednak łagodniej należy „Fortecę ducha“ Drużbackiej oceniać, bacząc na pojęcia wieku, dla którego nauka o duszy ludzkiej była zupełnie obcą. Gdy nadto dodamy, że doba ówczesna nie odznaczała się bynajmniej też zmysłem poetycznym, zrozumiemy genezę tego utworu i dziwić się nie będziemy, że nawet z zachwytem był przez współczesnych przyjęty.

Miłość, łącząca mężczyznę z kobietą, ten swawolny chochlik poezji dawniejszej a później i muzy ze Stanisławowskiego Wieku oświaty, to następnie ukochane bóstwo poezji romantycznej w pieśni Drużbackiej — miłość traktowana jest jak kopciuszek. Żartuje sobie nawet poetka z płaczącego Kupidyna i zasmuczonej Wenery. Lekceważonemu przez siebie uczuciu każe, aby ustępowało z drogi przesądom stanowym, a nawet przed mamoną, jak to opiewa jasno w wierszu: „Na dwóch ludzi, kochających się skrycie bez propocy fortuny i honoru“. Słowem uważa uczucie miłości za podrzędny motor życia. Nie wierzy nawet w szczerłość jego i widzi w nim pokusę światową, bo powiada:

„Miłość jeziorem, świat w nią rzuca wędę;
„Nie chwytaj świata darów, bo szkodliwe!“

Lepszą jednak jest ta szczerłość poetki, nie rozumiejącej uczucia głębokiej duchowej miłości, niż fałsz sentymentalizmu lub cynizm figlarnego amorka, który odzywał się tak często w utworach poetów wcześniejszej i późniejszej doby. Potrzeba było silnego męskiego temperamentu Morsztyna, aby w miłości zmysłowej głębsze tętna natury ludzkiej odczuć. Drużbacka sama zapewne, poślubiając swego Kazimierza, poszła za wolą rodziców i za względami światowemi, a ciche przywiązanie, które się w pożyciu małżeńskim zrodziło, sercu jej w zupełności wystarczało. Nie więc dziwnego, że innego ukochania, gwałtowniejszych i gorętszych burz serca, odczuć i zrozumieć nie potrafiła.

Szlachetny umysł poetki musiał jednak mieć pojęcie o pewnej harmonii, o pewnej nici sympatycznej, która winna łączyć istoty mające dzielić z sobą wspólnie dołę i niedolę życia, gdyż potępia polowanie na posagi i piętnuje szukających w małżeństwie karyery.

Lepiej odczuwa i piękniej opiewa poetka wzajemną miłość brata i siostry. Uczucie to było przystępniejszem dla jej serca. A najwyżej stawia miłość, która unosi ducha ludzkiego w niebiosy. Miłość ta wiedzie poetkę do ascetyzmu i ukazuje jej rozkosze życia, jako przeszkodę na drodze do doskonałości. Pewien lekki odcień pesymizmu, który się z tego usposobienia ascetycznego rodzi, nie przeszkadza jednak poetce kochać ludzi i pragnąć ich udoskonalenia moralnego.

Tkliwość uczuć i litosne popędy serca niewieściego znalazły upust w uczuciowo-moralnych powieściach rymowanych Drużbackiej. Każdy z tych utworów dąży do udowodnienia jakiegoś moralu życia. Najlepszą jest „Fabuła

o księżciu Adolfie, dziedzicu Roksolanii“: Rycerz ten dostaje się na wyspę szczęśliwości, gdzie u stóp bogini Fortuny, wśród rozkoszy i uścisków miłosnych, długie lata, jak jedna chwila, mu mijają. Zapragnął jednak zobaczyć swą krainę. Ulegając jego błaganiom, Fortuna wysyła go tam na koniu Bizarze, potomku pegazowym. W drodze zapomina Adolf o przestrodach bogini, aby z rumaka swego ani na chwilę nie zsiadał, więc ginie w morderczych uściskach starca, którego chciał w niedoli ratować. Tym starcem jest „Czas“. Czekał on długo na szczęśliwego wybrańca Fortuny, aż wreszcie dostał go w swe ręce. A moral tej powieści allegorycznej? Oto, że w szczęściu życie szybko upływa, lecz prędzej czy później prowadzi do smutnej tragedii śmierci.

W osnowę tej legendy poetycznej, którą w odmiennej nieco treści powtórzyła Gabriela w swych „Przadkach“, wpłata Drużbacka kilka pięknych, pełnych fantazyi i uczucia obrazów

Tego rodzaju utwory, w których i później lubowało się pióro kobiece, miały swoje chwilowe znaczenie w dążeniu do uszlachetnienia popędów serca ludzkiego przez rozbudzenie uczuć tliwszych i serdeczniejszych. A dusza kobieca wypowiadała w nich swe uniesienia idealne.

Organizacya poetyczna Drużbackiej jest, jak na owe czasy, bardzo bogatą. Rozum światły, uczucie szczerze i głębokie, dalekie od mdłego sentymentalizmu, fantazyja żywa, a obok tego, — przymiot niezwykle u kobiet — dowcip w ironii i satyrze, i nawet humor, humor szczerzy, natury swojej, dla nas może trochę nawet za rubaszną, a, jak na chwilę ówczesną, uszlachetniony w delikatności natury kobiecej — oto bogactwa duchowe, które uczyniły tę poetkę niezwykle oryginalnem zjawiskiem w dziejach piśmiennictwa naszego. A ponad tem wszystkim, jako słońce ożywe, przyswiewca wyższe poczucie moralne, z jakim jasna, pogodna dusza poetki spogląda na zjawiska życia, a także wyższe poczucie smaku artystycznego. Ten smak artystyczny wpłynął też na niezwykle udoskonalenie formy poetycznej, na czystość języka, bardzo nieznacznie zakażonego ówczesnym makaronizmem, na prostotę, wyróżniającą się tak dobitnie od napuszystości stylu, jakim inni w tym czasie pisali. Słowem, dusza kobiety, i to kobiety XVIII wieku, wypowiedziała w utworach poetki naszej najszlachetniejsze strony natury swojej i dała nam obraz artystyczny, w którym widnieje w jasnych barwach wizerunek duchowy wieku, oświecony z góry wschodzącym słońcem wyższych ideałów życia i sztuki. Drużbacka, jak słusznie mówi Krasiecki, przyłożyła się „do ożywienia gustu w poezji“. Stała ona wprawdzie niekiedy za duchem zepsutego smaku artystycznego, nie zawsze umiała wybrać do swych utworów treść natury poetycznej, brak gruntownego wykształcenia nie dał jej wznieść się do oryginalności tak wysoko, jak przedtem wzniósł się Sęp Szarzyński, a później Krasiecki; ale swoją drogą lepsza znacznie częśćka jej natchnienia stanowi niepospolity dorobek dla ducha w jego rozwoju dziejowym. Więc wspomnienie o niej należy się wdzięczność i część głęboka, część dla kobiety, która w wieku tak mało jeszcze oświeconym, a tak zepsutym, umiała zrozumieć prawdę i piękno i tak gorąco dać im w sercu ukochanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WYSTAW MALARSKICH.

Jak meteor przemknął przez wystawę „Towarzystwa zachęty“ wielki obraz, przedstawiający allegorycznie czy też symbolicznie „Szał“. Przez kilka tygodni budził on namiętne pochwały i namiętne krytyki, aż jednego rana obrócił się w nicość. Gorączkowa ekstaza powołała go do życia; gorączkowa ekstaza śmierć mu zadała.

I oto sprawozdawca widzi się w położeniu niebywałym: ma mówić o obrazie, którego już niema. W uwagach też swych kłaść musi wszędzie czas przeszły zamiast teraźniejszego—co zwykle stosuje się tylko do dzieł zamierzonej przeszłości, które już od wieków w proch się rozsypały.

Jakiekolwiek pobudki skłoniły p. Podkowińskiego, twórcę „Szału“, do zniszczenia swego dzieła, trzeba stwierdzić, że malarstwu naszemu stała się ztąd krzywda, obraz był bowiem niepospolity. Wyobrażał też on jakby świt nowej ery w sztuce, która, zużywając formę dotychczasową, wynalazła dla swego ducha nowe symbole.

Ta nowość zresztą—jak zawsze w tym razie—jest względna. Wprowadzanie do malarstwa fantazyi, intuicji, marzenia i tych wszystkich żywiołów, które formułą matematyczną wyrazić się nie dadzą, nie od dziś się datuje. „Szał“, olśniewający widza dzisiejszego niezwykłością, miał wiele pokrewnych sobie dzieł w dobie wczesniejszej—że wspomniemy tylko romantyzm i jego, nieliczącą się z faktami pozytywnymi, wybujałość.

Jednakże było to dzieło, w pełnym tego słowa znaczeniu, współczesne. Schyłek XIX-go wieku, niespokojny, gorączkowy, rozpaczający pełen i dziwactw, znalazł w nim wierny swój wyraz i dokument. Artysta, porwany prądem szeregów natchnienia, wypowiedział w obrazie tym więcej, niż sam może umiałby z tego zdać sobie sprawę. Płonął tam duch epoki, która, szamocąc się daremnie w pętach filozoficznych, religijnych i naukowych zwątpień, kończy wreszcie—szaleństwem.

A ten szal—nosobiony przez artystę w rozruchanym, na oślep pędzącym rumaku, którego w historycznej extazie dusi naga kobieta—niepodobny był zgoła do szaleństw innych, wcześniejszych epok. Inaczej szalał upadający Rzym, zasypujący ulewą kwiatów rozkoszników i rozkosznicze swoje; inaczej Francja w przededniu krwawego chrztu wielkiej Rewolucji; inaczej nawet najbliższe nam i najrozumialsze pokolenie Rollów i Manfredów. W tym szale tkwiły popędy niszczycielskie, zabójcze lub samobójcze, i nie był on obłędem przemijającym lecz—furią.

Tę ideę (wyraz poczynający już stawać się dla współczesnych malarzy niezrozumiałym) wcielił był p. Podkowiński w sposób prawie mistrzowski. Mimo pewnych usterek anatomicznych w budowie konia, obraz był doskonale wyrysowany, oświetlony i wymalowany. Nie było też w nim wcale tęczowej pstrocinności, szpecącej dawniejsze, impresjonistyczne próby tegoż artysty.

Szkoda tego obrazu!

*

*

*

Na wszystkim, co maluje p. Wacław Pawliszak, znać wpływ przyrody wschodniej, studyowanej zresztą przez artystę w przedśionku dopiero właściwego Wschodu, bo na pobrzeżach Morza Czarnego.

Ztamtąd-to pochodzą owe mgły liliowe, kremowe i różane, które tak powabnie kolorują jego pejzaże, a których spalona słońcem Afryka zgoła nie zna. Wiadomo, ile mgłom takim zawdzięcza Konstantynopol, miasto w rzeczywistości brudne, nieporządnie zabudowane i niechlujne, a które przybyszowi, oglądającemu je w blaskach świtu lub zachodu, wydaje się nieziemskim prawie zjawiskiem. Taka mgła tęczowa, rozsznuta obrazie, jest jakby szatą poetyczności rzuconą na szorstkie formy życia powszedniego.

P. Pawliszak owego kremu, różu i liliowości używa obficie, a niekiedy nawet nadużywa. Dopóki przedmiotem obrazu jest scena wschodnia, przyjmujemy tęczowość tę za barwę „lokalną“ i wstrzymujemy się od sądzenia: czy jej jest lub nie jest zawiele; inaczej wszakże, gdy artysta przedstawia nasz własny, polski *plein-air* i gdy każdej chwili możemy go łatwo własnymi oczyma skontrolować...

Oto na przykład jego „Przejażdżka.“ Pokazuje nam ona dwoje młodych i widocznie nieobojetnych sobie jeźdźców, na tle parku, oblanego światłem letniego czy wiosennego przedwieczera. Obrazek jest piękny, a piękność swą zawdzięcza głównie—kolorystyce. Owa barwna mgła, o któ-

rej wspomniałem, przesłania, naksztalt gazy, nie tylko cały pejzaż, ale i postacie ludzkie, nadając wszystkiemu wdzięk i lotność. Zachwycamy się jednym i drugim—do chwili, gdy zmysł krytyczny podszeptnie nam zapytanie:

— Jestże możliwą taka barwność pod niebem północnym?...

Wówczas też staje nam się widocznym, że p. Pawliszak, wynalazłszy jedną, niewątpliwie bardzo piękną, kombinację barw, i która może być nawet prawdziwą dla przyrody Krymu i Turcji azjatyckiej, używa jej teraz zawsze i wszędzie, nie licząc się zupełnie z geograficznymi i klimatycznymi warunkami miejsca.

Blizkie to już jest manieri—od której utalentowany malarz całą siłą talentu bronić się powinien.

Miękkie, tym razem księżycowe, oświetlenie, w którym kontury przedmiotów zdają się rozplwać i tęczowych obwódek dostawać, znakomicie podnosi piękność obrazka przedstawiającego „Serenadę.“ Może i na tym obrazku ton wydałby się komuś nienaturalnym i przesadnym; wiele tu jednak usprawiedliwia czarodziejstwo optyczne nocny księżycowych, o których nigdy napewno powiedzieć nie można: czy są srebrzyste czy lazurowe, seledynowe itp.

Zresztą p. Pawliszak, jakkolwiek głównie wojuje kolorem, posiada i inne strzały w swym artystycznym kołczanie. Jego konie są zawsze piękne, pełne ognia i rasowej szlachetności form. Typy, które najchętniej odtwarza, odznaczają się wierną, wyróżniającą je z tłumu pospolitaków. Nakoniec, ze smakiem wykwintnego artysty wybiera p. P. zawsze i tematy obrazów swych i pejzaży, w których piękności architektoniczne ważne zajmują miejsce.

Na wszystkim jednak, jak rzekłem, leży niezatarte piętno Wschodu.

*

*

*

P. Hirszenberg pozostał wiernym raz obranemu rodzajowi i temata do obrazów swych czerpie wyłącznie z życia żydowskiego. Jego, wielki rozmiarami, „Cmentarz“ jest również cmentarzem żydowskim.

W samym końcu tego cmentarza, tuż pod murem, na mogile, świeża jeszcze pewnie, przyszły trzy żydówki różnego wieku i oplakują nieboszczyka. Są tu wyrażone trzy formy żalu, mało jednak różniące się pomiędzy sobą. I staruszka, i niewiasta dojrzała, i młoda dziewczyna z timsamym patosem, plemieniu wschodniemu właściwym, rozpaczają nad grobem człowieka, który był może jednej mężem, drugiej ojcem a trzeciej dziadem.

P. Hirszenberg, rozmiłowany w niezwyklej efektach oświetlenia, tym razem dał obrazowi swemu ton szary, dniom pochmurnym właściwy, a tłumiający wszelką żywość kolorystyczną. Nie wyszło to dzieło jego na dobre. Na „Cmentarzu“ i przyroda i postaci ludzkie wyglądają jak spłowiałe, tak się zaś ze sobą zalały, że człowiek, kamień i murawa zdają się tam z jednej i tej samej utworzonej materii.

Ale główną zaletą obrazu jest jego nastrój—żałobny, ponury, przygnębiający. Wytwarza go nie tylko ruch postaci i dekoracja całej sceny: płynie on również z owego szarego, jakby umarłego światła, które żadnej barwie wydobyć się i rozbłysnąć nie pozwala. Światło to jednak czyni zarazem obraz jałowym i naupędzającego się za wrażeniami widza działa zniechęcająco.

Podobne oświetlenie—nadzwyczaj trudne do utrzymania w tonie właściwym—dał p. Lindeman obrazowi swemu: „Stare Miasto o zmroku.“ Być może, iż przy pewnym szczególnym stanie powietrza chwila pośrednia pomiędzy zachodem słońca a zupełnym wieczorem, tak właśnie, jak na tym obrazie, zabarwia niebo i mury; mnie jednak, który znam się trochę ze Starem Miastem, oświetlenie to wydało się: rozmyślnie—fałszywem.

Niebo na tym obrazie, jednostajnie popielate, ze słabym odcieniem różowym, nie zagłębia się zupełnie, lecz wygląda jak teatralna, prostopadle wisząca, dekoracja. Tę płaskość i jednostajność

zabarwienia posiadają też i domy, którym brak znamienia archaiczności i właściwej, że się tak wyrażę: fizyognomii. Są to domy bylejakie, z miasta bylejakiego; nie widzi się na nich powagi i majestatu starości oraz wspomnień.

Gdyby mi p. Lindeman zarzucił, że mieszam ze sobą rodzaje, i domagam się od malarstwa tego co może dać tylko literatura, przypomnę mu „Bramę na Starem Mieście“ Aleksandra Gierymskiego, gdzie odnajduje się wszystko, o czem wspomniałem—a nawet i więcej jeszcze.

Po tych wszystkich chorowitych zmrokach, z rozkoszą kąpią się oczy w słońcu, którego, na szczęście, nie poskapią nam inni artyści. Jak wdzięczne są, na przykład, pejzaże wiosenne pana Wrzeszcza, białe i różowe od bżów kwitnących! Te bzy są na nich wszystkim, ale wystarczają do wypełnienia dwóch obrazków świeżo, pociągająco treścią. Nie wiem czy umyślnie czy nieumyślnie, na żadnym z nich, wbrew pejzażowemu regulaminowi, nie umieścił artysta człowieka; nie czyni ich to jednak bynajmniej pustymi, ani też braku tego żałować każę.

Odnajdujemy słońce i na dużym pejzażu p. Rapackiego, zatytułowanym „Fantazya“; jest to wszakże słońce zachodzące już i—zimne. Całej zresztą kompozycji brak ciepła. Na ziemi ciemna zielen, surowa i wystygła, a na niebie siność farbkowa, właściwsza jesiennym niż letnim obłokom, wypełniają „Fantazję“ chłodem i martwością. Dobre szczegóły nie ocalają całości, która wygląda jak materiał przygotowany do pięknego dzieła i czekający dopiero na ożywczą iskrę natchnienia.

Z tą zielenią i z tym fioletem, które na wszystkich niemal jego obrazach tak uparcie się powtarzają, powinien artysta koniecznie wziąć rozbrat. Wymalowany kiedyś w dobrej chwili „Park we Frascati“, gdzie barwy przepełnione słońcem taką uciechą sprawiał oku, może być dlań wskazówką: czem ma przeciwdziałać zwyciężającej go coraz wyraźniej manierze.

Niekiedy tak zwana martwa przyroda (*nature morte*) więcej miewa żywotności od żywej—rozumie się od żywej—malowanej. Dowodem tego: przepyszne „Owoce“ panny Bronisławy Łukomskiej, uczennicy Szynclera. Rozkrajany kawon, nabrzmiałe soki winogrona i obrana do połowy pomarańczę wymalowała artystka z tak ludzającym pozorem prawdy, że bierze pokusa ręką po nie sięgnąć. Istnym też „majstersztykiem“ malarzskim jest na tym obrazie gra światła w puharze szklanym i w wypełniającym go winie.

(Dokończenie nastąpi).

NARZECZONA I ŻONA W JAPONII

przez Japończyka

NAOMI TAMURA *).

(Dokończenie).

Powierzchność narzeczonej ulega widocznej zmianie: czesze się i ubiera poważniej, goli brwi, a żeby maluje na czarno, tak, że na pierwszy rzut oka poznać można zamężną kobietę. Matka daje jej na drogę dalszego życia trzynaście rad, do których się w pożyteciu z mężem stosować powinna, między innymi zaleca jej: posłuszeństwo względem męża jako władcy oraz jego rodziców, cierpliwość i pokorę, przestrzega ją zaś przed zazdrością.

Ślub odbywa się zwykle w wieczornej porze, a nigdy przed południem. Narzeczonej wyciera swą twarz ryżowymi otrąbkami, *Oszyroi*, czyli pudrem, maluje usta różem, *beni*; damy japońskie odznaczają się wyjątkową umiejętnością sztuki malowania się. Ślubny strój z ciężkiego białego jedwabnego materiału składa się z trzech lub czterech spódnic o bogatym desenie, o rękawach

mających dwie stopy i pięć cali długości; szarfa opasująca suknie, zwana *Obi*, ma 11 stóp długości a 8 stóp i pół cala szerokości; pończochy są z pododdzielanymi palcami; jedwabny kaptur zasłania twarz i głowę całą.

Naręczony stroi się w *Kamiszy*, t. j. ubranie, składające się z kilku gatunków jedwabnego materiału, kolory zaś muszą być zastosowane do stanowiska, jakie dane *subjectum* zajmuje.

Ślub odbywa się w domu pana młodego, a sala zostaje na ten dzień odpowiednio przystrojona. Z *Tokonoma*, czyli części tej sali, wzniesionej na kilku cali ponad podłogę, umieszcza się w wazonach szyszki jodłowe, gałęzie bambusu oraz kwiaty śliwy, uważane jako godła szczęścia. W środku pokoju, na małym stoliku z białego drzewa, przy którym siedzą dwie lalki wyobrażające staruszkę i starszkę, ustawiają sztuczną jodłę. Jest to symbol szczęścia i długiego życia młodej pary.

Gdy już wszystko przygotowane, zapalają ogień przy wejściu do domu narzeczonego, narzeczoną przywożą w tak zwanym *Kago*, prowadzonym przez dwie osoby, a za nimi postępują rodzice, peśnik, przyjaciółki i służebnice. Te ostatnie niosą jednocześnie podarunki przeznaczone dla każdego członka rodziny narzeczonego, nie wyłączając miejscowej służby, a prócz tego, każda trzyma w ręku świecącą latarę z rodzinnym herbem narzeczonej.

Cały ten pochód podobny jest do orszaku pogrzebowego i oznacza nawet, że odtąd młoda kobieta umiera dla swych rodziców, żyć powinna tylko dla męża i w jego domu życie zakończyć. Jeśli naręczony mieszka w mieście, sąsiedzi jego na całej ulicy ozdabiają domy i oświetlają bramy latarkami. Naręczony oczekuje swej przyszłej, siedząc na *Tokonoma*; naręczona wchodzi wreszcie i zajmuje przy nim miejsce na niskim stoliku; przed niemi siada Nakodo, a obok narzeczonej dwie mężatki i dwie małe dziewczynki. Podczas całej ceremonii słyszeć się dają w sąsiednim pokoju dźwięki *Uta*, japońskiej pieśni, wykonywanej na jeden lub dwa głosy bez akompaniamentu. Następnie przynoszą mały stolik, na którym stoją trzy filiżanki różnej wielkości. Jedną z mężatek lub paniątek nalewa do filiżanek nieco *Sako*, japońskiego wina, z dzbanka przybranego papierowymi motylami; najmniejszą podaje narzeczonej. Ta wypija trzy łyki i podaje filiżankę narzeczonemu, który idzie za jej przykładem; to samo odbywa się z drugimi filiżankami. Oznacza to, że młoda para odtąd dzielić ma między siebie wzajemnie zarówno radości jak troski.

Na tem kończy się ceremonia ślubu, a pośrednik oznajmia obecnym, że ślub się odbył. Młodzi małżonkowie oddalają się i odbywa się wspaniała uczta, podczas której młoda kobieta przebiera się kilkakrotnie, jeśli jest majątną.

Miodowy miesiąc jest rzeczą tak samo nieznaną w Japonii, jak europejska podróż poślubna. Młoda kobieta wstaje bardzo rano i zajmuje się domem wraz ze służbą. Ponieważ mąż jest dla niej prawie obcy, zatem, dla rozrywki, jest w zwyczaju, że młoda mężatka powraca na trzy lub siedem dni do domu rodzicielskiego, trzeciego lub siódmego dnia po ślubie. W tym czasie mąż odwzajemnia się żonie za otrzymane podarunki, a teść jego wydaje wspaniałą ucztę, zaprasza przyjaciół i przedstawia im swego zięcia.

Zdarza się czasem, że młoda kobieta nie powraca już do męża i wprost się z nim rozłącza. Jeżeli jednak ma żyć z nim nadal, obowiązana jest w towarzystwie teściowej złożyć wizyty wszystkim rodzinom, które w dzień jej ślubu oświetliły domy swe latarniami.

Młoda para zamieszkuje z rodzicami męża pod jednym dachem; jest to ciężki warunek dla każdego ogniska domowego w Japonii, gdyż prawie niepodobna uniknąć zatargów, przy takim wspólnym gospodarstwie starszej i młodej pary. Teściowa pragnie synową w zupełności opanować i ma nieraz większą władzę nad nią, niż sam mąż; biednej kobiecie trudniej często podobać się matce, niż mężowi. Kobieta w Japonii jest skrzętną, pracowitą od rana do późnego wieczora zajętą; utrzymuje ona dom w ładzie i porządku, gotuje strawę, przegląda i porządkuje odzienie męża przed jego wyjściem z domu, jak również

po jego powrocie; oczekuje na niego z jedzeniem i stara się uczynić mu ognisko domowe przyjemnym i wygodnym, tak, że bez niej żyć-by nie mógł.

Gdy teść przekroczy pięćdziesiąty rok życia, zostaje *Inkio*, to znaczy usuwa się na spoczynek, i przekazuje majątek synowi; ten staje się odtąd panem domu, a odpowiedzialność spada na niego. Bierze syn również na siebie obowiązek utrzymania rodziców i dostarczenia im wygody i przyjemności.

Mąż ma prawo rozkazywać i postępować dowolnie, a nawet w razie gdyby mu się podobało wprowadzić ulubienicę do własnego domu, żona z milczeniem i pokorą znieść to obowiązana; gdy zaś sama staje się nieposłuszną lub niewierną, mąż zwraca ją ojcu, jako pierwszemu właścicielowi.

Najgorszymi burzycielkami domowego spokoju w Japonii są *Geisza* czyli tancerki, plaga społeczeństwa, tolerowana przez rząd. Jeżeli mąż wprowadzi jedną z nich do domu, a żona sprzeciwia się temu, w takim razie rozłączenie jest nieuniknione. Mąż ma prawo rozłączyć się z żoną w każdej chwili, jeśli ona podobać mu się przestała. Wzywa wtedy Nakoda, objawia mu swe postanowienie, a nieszczęśliwa zmuszona jest powrócić do ojcowskiego domu, wrócić do dawnego swego nazwiska i pod dach swój dawny. Najczęściej przyczyną rozwodu jest teściowa.

Położenie kobiety w domu zmienia się bardzo z chwilą urodzenia się dziecka a zwłaszcza syna; wówczas, tak teściowa, jak jej syr, łaskawie obchodzą się z młodą matką. W razie rozłączenia dzieci należą do ojca. Z tego powodu kobieta często znosi cierpliwie wszystkie upokorzenia, aby tylko przy dzieciach pozostać.

Posłuszeństwo kobiety jest trojakiego rodzaju: w dzieciństwie i młodości słucha ojca, jako mężatka posłuszną jest mężowi, jako wdowa — najstarszemu synowi. Swobodniejsze życie prowadzi kobieta w Japonii dopiero w późnej starości. Nazywa się wtedy *Go-Inkio-Sama*, otrzymuje oddzielne mieszkanie, codzień chodzi do świątyni lub do teatru, a syn troszczy się o zaspokojenie wszystkich jej potrzeb.

Szanująca swą godność kobieta, zostawszy wdową, nie wchodzi w powtórne związki małżeńskie, nawet w takim razie, gdy jest w wieku młodym. Niejedna, straciwszy męża, obcina swe włosy, ubiera się czarno i życie poświęca praktykom religijnym jak chrześcijańskie zakonnice. Codziennie udaje się do świątyni, gdzie spoczywają zwłoki zmarłego. Prawo jednak żadnej kobiecie do tego nie zmusza. Coraz częściej zdarza się już teraz, że wdowa wychodzi za mąż po raz drugi, a nawet trzeci.

Nastał teraz dla Japonii czas zamętu i niebezpieczeństwa. Stara Japonia znika, ustępując nowej. Na opinię starszych nie zwraca się uwagi, a zdanie młodych nie ma jeszcze dostatecznego znaczenia. Buddaizm i zasady Konfucjusza straciły wiele ze swego wpływu, lecz chrześcijaństwo nie przeniknęło jeszcze do mas naszego narodu. Stare i nowe obyczaje plączą się z sobą, co nie oddziaływa dobrze. Starzy ludzie są za utrzymaniem dawnych weselnych obrządków; młodzi urządzają swe małżeńskie życie po zagranicznemu, lecz nie przychodzi im to łatwo.

Dziwne wrażenie sprawiają teraz nasze ulice. Brama — japońska, struktura domu w połowie miejscowa, w połowie cudzoziemska. Mężczyźni noszą narodowe stroje kapelusz zaś i buty zagraniczne; panie przechadzają się swobodnie na wzór mężczyzn, noszą męskie buty i kapelusz według paryskiej mody, czasem jednak zupełnie niewłaściwie włożony. Tętniejszość i przeszłość wzajem się wypierają, a taka walka nie sprzyja nigdzie porządkowi obyczajowemu.

Kronika działalności kobiecej.

— Według dzienników petersburskich ministerium oświaty ma wkrótce wytworzyć komisję do rozpoznawania projektów, odnoszących się do organizacyi instytutu medycznego dla kobiet. Liczne legata prywatne sporządzone przez kobiety, powiększyły mienie instytucji.

— Oddział wystawy w Niżnym Nowogrodzie, przeznaczony dla okazów pracy kobiet, zgromadził ich ilość znaczną w rozmaitych gałęziach pracy z zakresu gospodarstwa domowego.

— W fabrykach i zakładach przemysłowych miasta naszego pracują 4.703 kobiety. Mężczyzn robotników jest tu 14 090.

— W biurach kanalizacyi m. Warszawy znalazło zajęcie kobiet trzydzieści, zarobek ich tygodniowy przynosi od trzech do czterech tysięcy rubli, przeciętnie pracownice wyżej wykształcone mogą zarabiać po dziesięć rubli za osiem godzin zajęcia. Są to przeważnie kopistki.

— Doroczna wizyta w ochronie *S*-tej Jadwigi przy ulicy Wolskiej, odbyta ze współudziałem opiekunek, p.p. Anieli i Jadwigi Biernackich, oraz p. Franaszkowej, wykazała, iż p. Helena Konieczkowska, dozorczyńni, wywiązuje się bardzo dobrze z zadania swego. W Przytulku *S*-go Józefa na Solcu, fundacyi p. Bronisławy Sobolewskiej, zgromadziło się na wizycie generalnej opiekunek dwadzieścia: Anna Sobolewska, Karolina Sommerowa, Miłostawa Kaszewska, Lubomila Sławianowska, Anna Minejkowa, Józefa Micewiczowa, Teresa Markoni, Jadwiga Zatorska, Janina Blaumerowa, Marya Montwiłło, Franciszka Rudnicka, Marya Worytko, Walerya Tańska, Hortensya Lewentalowa, Wanda Perkowska, doktorowa Klinkowa, Helena Krompole, Wanda Antoszewiczowa, Alexandra Makowiecka. Wychowanki zaśpiewały pieśń do Ducha *S*-go, odmówiły głośno pacierz i odpowiadały na zapytania z katechizmu, wykazały pewne wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego. Na wizycie rocznej w ochronie II przy ulicy Chłodnej znajdowały się opiekunki p.p. Ant. Fragetowa, Marya Karasińska, Marya Piechowska, Marya Roesler. Dzieci obdarowane zostały różnymi upominkami i przysmakami. Ochrona ta utrzymywana jest kosztem p. Juliana Frageta.

— Przy stacyi filtrów na Koszykach znalazła zajęcie pewna liczba kobiet; ze względu na rozległość placu zaprowadzono na stacyi od głównego aparatu pięć oddog telefonicznych, a stałą jego obsługę oddano pani *L*, obok tego znaleźć tu mają zajęcie dwie rysowniczk. Pani *L* pobierać będzie pensję z etatu miejskiego.

— Zarząd kolei wiedeńskiej dopuścił raz pierwszą kobietę do grona swych urzędników, mianując p. Helenę K. dyetaryuszką w kancelaryi zarządu. Poprzednio już panna ta pracowała w biurze kolei jako telefonistka, obecnie otrzymywać będzie miesięcznie 35 rs. pensji.

— P. Kurtzowa prowadzi w parku sieleckim wprost Sielanki wzorową wychowalnię kokonów jedwabniczych przy pomocy praktykantów i praktykantek, dla których urządza odczyty teoretyczne o jedwabnictwie. Jest to jedna z bardzo zyskowych gałęzi pracy kobiecej, która niepowinna zostać zaniedbaną przez ziemianki nasze, zwłaszcza w czasach dla gospodarstwa rolnego mało pomyślnych. Wykłady rozpoczęte d. 23 z. m. odbywają się regularnie co sobota i wtorek.

— P. Helena Kuczalska, kierowniczka zakładu gimnastycznego dla kobiet, urządziła ćwiczenia gimnastyczne na świeżem powietrzu, w ogrodzie.

— Rozdawnictwo odzieży, istniejące w mieście naszym już rok pod przewodnictwem bar. Zofii Hartingowej, zebrało w ciągu trwania swego 2.955 rs., wydało zaś na zapomogi w gotówce, na obuwie, na szycie bielizny i zakup płótna, na robotę i zakup materyałów na odzież, oraz inne wydatki 1.906 rs. W dniu 1-go Stycznia znajdowało się w kasie gotówki 1.048 r.; w ciągu roku sprawoz-

dawczego obdarzono ogółem 4.826 osób, a w liczbie tej 3.472 dzieci.

— Francuskie Towarzystwo matek rodzin, z małżonką Carnota na czele, rozwija bardzo pożyteczną działalność, ułatwiając ubogim matkom rodziny karmienie niemowląt i opiekując się zarażem małemi dziećmi, dla których urządzają żłobki, a następnie szkoły zwane macierzyńskimi, odpowiadające naszym ochronkom, gdzie przy troskliwej opiece rozbudza się inteligencja dziecka. Kassy szkolne ułatwiają naukę dzieciom ludzi mniej zamożnych a pragnących dać im wykształcenie, a to zaopatrując je w książki, w ubranie, w razie potrzeby dając i na wyżywienie. Towarzystwo opiekuje się dziećmi pracującymi w fabrykach i oddanymi do terminu; skrofulecznym i słabowitym przychodzi z pomocą, wysyłając je na kolonie letnie i do kąpielí odpowiednich. Jest tu oddział opieki nad dziewczętami, które nieraz odbierane są rodzicom niemoralnego prowadzenia, jest oddział dostarczania odzieży taniej, tanich pomieszczeń, pożyczek broniących przed wyzyskiem wysokich procentów, schronienia noclegowe. Towarzystwo Ś-go Wincentego a Paulo przychodzi tu często z pomocą rad i wskazówek, a oddział pomocy emigrantom, którzy, opuszczając kraj dla poprawienia sobie losu, wpadają w nędzę ciężką, lub trawieni nostalgią, wyżąć na obczyźnie nie mogą, ułatwia im powrót do domu.

— Królowa Wiktoria napisała własnoręcznie list do małżonki Gladstone'a z wyrazami tkliwej życzliwości, a to z powodu, że przez cały czas, gdy ten sędziwy mąż stanu dotknięty był ślepotą wskutek katarakty, była dlań najtroskliwszą siostrą miłosierdzia, a gdy przyszła bolesna operacya zdjęcia jej, była przytomna temu aktowi i obecnie czuwa nad osłabionym, nie dając się wyręczyć nikomu w pielęgnowaniu go i obsłudze.

— Lady Klementyna Hay, młoda ba zaledwie osiemnastoletnia panna, córka angielskiego magnata, margrabiego Tweeddale, podjęła szlachetnie sprawę taniego czytania dla ludu i, ujmując sobie wielu przyjemności, oszczędzając się w ubraniu i zabawach, wydaje kosztem własnym serye książek i broszur pożytecznych do czytania dla ludu.

— Miss Małgorzata Long, irlandka, uratowała w Styczniu przeszłego roku życie silnemu mężczyźnie, ślizgającemu się na jeziorze w Irlandyi; lód się załamał na odległości przeszło 150 metrów od brzegu i nieszczęśliwy już konał, wpadłszy w wodę na 20 stóp głęboką, gdy miss Long, ślizgająca się również, podbiegła na łyżwach do otworu, położyła się na lodzie, a zrzucawszy do połowy okrycie, obszerny płaszcz, przywiązała do niego biedaka i utrzymywała go na powierzchni, wołając żarzem o pomoc, którą, na szczęście, otrzymała. Przyznano jej za to medal srebrny za zasługi, podobnie jak i piętnastoletniej Annie Ethsidge, uczennicy szkoły wiejskiej, która również wyratowała z rzeki Avon tonącego mężczyznę.

— Miss Etela Hutchinson, córka zamożnego domu ziemiańskiego z okolic Liverpoolu, wyjechała do Indyi jako misyonarka, nawracająca kobiety i ucząc je żyć na prawach nauki Chrystusowej. Poprzednio studiowała medycynę już z celem szerzenia wiadomości lekarskich między indyankami, którym nie wolno przyzywać lekarza mężczyzny.

— W Ameryce, w Stanie Wirginia, wzniesiony został w miejscowości Fredericksburg pomnik matce Waszyngtona przy wielkim zebraniu ludności. Odsłonił go prezydent Cleveland; po modlitwie, którą odmówił głośno kapłan, senator John Daniel miał przemowę, którą rozpoczął od

słów wymówionych niegdyś przez Waszyngtona: „Czem jestem, zawdzięczać matce“. Mówca wykazał wpływ, które tu działały. Następnie przemawiał Cleveland, który podnosząc zasługi kobiet ówczesnych, przytoczył zdanie, które Lafayette wygłosił w swoim czasie o tej dostojnej pani: „Oczy moje oglądały żyjącą matronę rzymską“. Pomnik przedstawia obelisk granitowy 50 stóp wysoki, wznoszący się na cokole wysokim na stóp 11. Napis, który czei ją przez syna, jakiego wychowała, składa się z trzech wyrazów: „Marya, matka Waszyngtona“... Myśl pomnika dały kobiety amerykańskie i koszt jego pokryły całkowicie.

Z bieżącej chwili.

— Piszą z Petersburga, iż wielka grupa kapitalistów zagranicznych pragnęła otrzymać pozwolenie na wzniesienie w górach Uralskich rozmaitych przedsięwzięć, co jednak odmówionem zostało na zasadzie, że gdyby przedsięwzięcie to doszło do skutku, wszystkie gałęzie przemysłu uralskiego znalazłyby się w rękach cudzoziemców.

— W uniwersytecie petersburskim utworzone będą przez ministerium oświaty katedry języków wschodnich: japońskiego, korejskiego i narzeczy indostańskich. Celem tego jest rozwinięcie stosunków handlowych ze Wschodem.

— W warszawskim zakładzie sierot-chłopców zaprowadzone będą lekcye muzyki, z uwagi na uszlachetniający, podnoszący wpływ sztuki. Do zorganizowania lekyi zaproszono pp.: Antoniego Celichowskiego, Dra Wojciecha Leciejewskiego i Antoniego Wernera. Nauczyciel muzyki w Instytucie ociemniałych, p. Fran. Janowski, przyjął na siebie obowiązek udzielania im lekyi.

— W Nr-ze 20-ym pisma naszego zaszła niedokładność co do składu komitetu budowy pomnika Szopenowi. Stanowi go komitet Towarzystwa Muzycznego w całym składzie swoim. Pomieszczenie tablicy pamiątkowej w kościele Św. Krzyża stało się za sprawą i z fundacyi Towarzystwa. Wzorem dla portretu w płaskorzeźbie był wyłączenie medalion rzeźbiarza Bovy'ego.

— Pierwszy w roku bieżącym zakup obrazów w Warsz. Tow. Sztuk Pięknych do rozlosowania między członków, objął dzieł 30 nabytych za sumę 3.100 rs. Komitet Towarzystwa zaważwał tu delegacyą znawców sztuki, którą składali pp.: Dr Dunin Teodor, hr. Raczyński Edward, Zdzisław Jasiński, Julian Herman i Leon Wyczółkowski.

— Na ostatniem zebraniu Tow. Ogrodniczego przemawiał inżynier F. Rycerski o rozwoju ogrodnictwa w Ameryce i o dziale ogrodniczym na wystawie w Chicago; pogadanka została wydana przez autora z dołączeniem mapki text objaśniających. W zastępstwie nieobecne go prezesa, viceprezes, p. Wł. Kaczyński zdał sprawę z działań kommissyi urządzającej Bagatelę. Towarzystwo, posiadając obecnie siedzibę własną, zamierza umieścić tam marmurową tablicę z nazwiskami członków założycieli. Odczytano i przyjęto program wystawy kwiatowej; nakoniec pp. Dr Fabian i I. Kaczyński wygłosili pogadanki w jednym przedmiocie o produkcji maku i pożytkach, jakie przynosi.

— W Austrii odbywało się w miesiącu Maju za pośrednictwem uczniów szkół ludowych tępie-

nie chrząszczy, których gaszenie czynią wielkie szkody w zasiewach. W jednej miejscowości, Stockerau, kupiono od młodzieży szkolnej za pośrednictwem nauczycieli 120 hektolitrow chrząszczy majowych, z których gmina wyrabia nawóz sztuczny. W tej jednej miejscowości schwytano 2.400.000 tych żyjatek, obliczając przypuszczalnie ich rozplodzenie się w ciągu lata, uchroniono okolicę od 48 milionów gaszenie tego owadu. Jedno dziecko ze szkoły ludowej zarabiał dziennie około 50 centów, t. j. pół zł. reńskiego, a co zyskano w ochronie zboża!

— Spadkobiercy zmarłego niedawno we Lwowie Dr Antoniego Rolle, ofiarowali miejscowej czytelní akademickiej bibliotece pozostałą, liczącą przeszło 1.000 tomów. Biblioteka składa się przeważnie z dzieł przyrodniczych.

— W Zakopanem otwartą została z d. 1-ym b. m. stacya telegraficzna, funkcyonująca od godziny 7-ej rano do 9-ej wieczorem. W ogóle uroczą ta miejscowość coraz to więcej przybiera cech i wygód cywilizacyi nowożytnej.

— Spółka handlowa założona w Zakopanem blisko trzy lata temu przez grono okolicznych ziemian pod przewodnictwem hr. Tyszkiewicza Janusza a po jego usunięciu się p. Erarda Ciechomskiego, rozwija się bardzo pomyślnie i otworzyła drugą filią na Podhalu w Nowym Sączu. Zadaniem spółki jest, ujęcie w ręce swoje całego handlu okolicy podtatrzaskiej, oraz pośredniczenia w zakupie towarów krajowych i popieranie w ten najpraktyczniejszy sposób przemysłu krajowego. Liczne wycieczki mają wyruszyć w te strony ze Lwowa: do Zakopanego do Tatr.

— Lwowska rada miejska podniosła sprawę założenia w tem mieście akademii handlowej. Po należytem opracowaniu projektu prezydent magistratu lwowskiego rozpocznie rokowania co do uposażenia tej instytucyi przez rząd.

— W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbyło się we Lwowie zgromadzenie członków miejscowej „kassy chorych“, instytucyi humanitarnej, utworzonej głównie ze względem na klasy pracujące, a celem jest tu niesienie pomocy niezamożnej ludności miasta. W roku bieżącym ordynuje tu pięciu lekarzy, a choć apteki nie chciały czynić większych ustępstw nad 15½, a szpitale żadnych, 6.987 osób mogło przy pomocy Kassy korzystać z porady lekarskiej i środków leczniczych a nawet dłuższej kuracyi w szpitalu. Kassa pragnie posiadać własną lecznicę, i to jest cel, do którego dąży usilnie.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, T. II., ark. 1.

TREŚĆ: Schronienie wdów i sierot, przez H. R.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęzkowską (dalszy ciąg).—Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—Z wystaw malarskich.—Narzeczona i żona w Japonii, przez japończyka Naomi Tamura (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 1-szy T. II, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego.—Przegląd mód.—19 wzorów i robót z o; isem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.